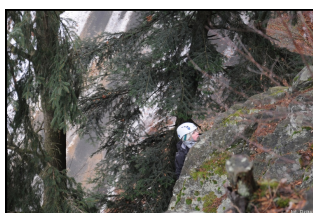


Demirondy, Crolle i Małpy

Kurs Taternictwa Jaskiniowego ruszył pełną parą. Po serii ciekawych wykładów przyszedł czas na pierwszy wyjazd w teren. Weekend spędziliśmy w Marianówce, gdzie w sobotę naszym pajaki rozbiegliśmy się po sieci rozplecionej pod dachem stodoły. Wieczorem obowiązkowa integracja przy ognisku i kominku. A w niedzielę, po dojściu do siebie, oblepiliśmy skałę.

Kurs zapowiada się na ciekawą przygodę. Na pewno zdobędziemy wiedzę niezbędną, by bezpiecznie zdobywać góry i jaskinie. No cóż, lepiej późno niż wcale...

Dziku





Symboliczna świeczka na Linardzie

Skład:

Aga, Dziku i Ja.



Gdzie i kiedy:

Piz Linard 3410 m n.p.m – najwyższy szczyt masywu Silvretta w Alpach Retyckich (Rätische Alpen), w dniach 31.10-02.11.2013.

Tym razem był to spontaniczny wyjazd, do którego przygotowywałem się jakieś pół roku. Po pierwszej zimowej wycieczce z Dzikową ekipą zapragnąłem częściej odwiedzać góry. W tym celu, od około pół roku skrupulatnie kompletowałem sprzęt potrzebny do tego rodzaju wypoczynku i dwa tygodnie przed wyjazdem kupiłem swój pierwszy czekan. Nie obeszło się jednak, bez pożyczenia kilku niezbędnych gadżetów. Dzięki wszystkim za pomoc (Aga, Dziku i pani Sandra).

3 dni przed wyjazdem dostaje maila:

– Na zdjęciu po lewej Linard widziany z Buin, pisziesz się?



Wyjazd nocą 30.10.2013

Czekałem na tą piramidkę całe lato... Kamień z serca spadł, nie zapomnieli o mnie. ☐

31.10.2013

Godzina 7:00 parkujemy samochód przed sklepem/informacją turystyczną w Lavin 1430 m n.p.m i czekamy na otwarcie, aby kupić mapę i podpytać o możliwe miejsce parkingowe.

Po mapę w cenie 14 frankow warto było jechać te 1100km.

Do tego krótki briefing pani z za lady:

- parkować możecie gdzie chcecie, najlepiej w centrum „miasta”, albo za mostkiem kolejki, zaraz przy wyjściu na szlak,
- czy wiecie, że tam na górze jest śnieg?

Zaparkowaliśmy w centrum i zgodnie z tabliczką informacyjną potuptaliśmy w kierunku Chamanna dal Linnard.

Do schroniska prowadzi dobrze oznaczona ścieżka przez las, podczas której bardzo szybko i przyjemnie zdobywa się wysokość.



Przecina ona kilka razy utwardzoną drogę, w zimie służącą jako trasa zjazdowa dla narciarzy. Mniej więcej w połowie trasy do schroniska na „Plan da Bügl ok. 1950 m n.p.m mijamy bajkową chatkę, niestety zamkniętą. W lecie podobno do tego miejsca można dojechać busem-taksówką. Mimo wyładowanych plecaków idzie się naprawdę przyjemnie. Chwilę po wyjściu z lasu zobaczyłem jeden z najpiękniejszych widoków na tej wyprawie:



W tle cel dzisiejszego dnia Chamanna dal Linnard 2327 m n.p.m i podnóże Piz Linard.

W schronisku byliśmy po około 3,5 godzinach marszu. Tzn. Dziku i Aga byli.

Mi zeszło troszkę więcej, bo dalej dogadywałem się z moimi kijkami, albo nogami i rękoma. Niby to takie proste...

Schronisko jest klasą samą dla siebie. Wyposażenie i stan zaopatrzenia można rozpatrywać w kategorii luksusu. Pełen asortyment po kufle do piwa i kieliszki do wina. Naturalnie za wszystko płacimy przelewem, jak to w Szwajcarii, druczki czekają zaraz obok butelek z piwem i colą.

Po rozgoszczeniu się i przepakowaniu wybraliśmy się na krótki rekonesans. Droga pod szczyt jest godzinną przechadzką wzdłuż strumyka i małych zamarzniętych jezior. Niestety chmury zasłaniające szczyt za nic nie chcą się rozrzedzić.



Podczas godzinnej eksploracji piargów, ani na chwile nie udało nam się zobaczyć wierzchołka Linarda. Wracamy z nadzieją, że jutro będzie bezchmurnie. Przy zejściu zostaliśmy nagrodzeni za oczekiwanie. Przebijające się promienie słoneczne zapowiadały poprawę pogody.



01.11.2013

O 7:00 wychodzimy ze schroniska, dzień zgodnie z prognozą bezchmurny i bezwietrzny. Temperatura -1°C , jak na listopadowy poranek ciepło. Wypoczęci i zmotywowani, wczorajszy zapoznawczy odcinek pokonaliśmy 15 minut szybciej i już po 80 minutach zakładaliśmy raki przy wejściu do żlebu. Droga na szczyt oczywista, kuluarem jak długo się da i dalej po grani.



Nachylenie ok. 35° - 45° , z każdego żlebu już dawno wyjechał nadprogramowy śnieg i nie ma zagrożenia lawinowego, trzeba

uważać na kamienie lecące na głowę i te luźno zamocowane. Przy dźwięku spadających w oddali lawin i słończku ogrzewającym nasze plecy bezproblemowo dochodzimy do grani.



Zajęło mi to, godzinę i czterdzieści minut. Dziku i Aga byli szybciej i tym razem mojego opóźnienia nie mogłem zważyć na złą współpracę z kijkami. Cóż pewnie tej dwójce zostało troszkę z aklimatyzacji w Pamirze ;).



Dalej kawałek grani i o godzinie 11:00 stajemy na szczycie. Jest chłodniej niż w osłoniętym kuluarze, ale widoki rekompensują wszystko.



Zapałam świeczkę, mamy przecież Wszystkich Świętych.



Do gipfelbucha wpisuje się z trudem, bo podczas zabawy ze „zniczem” zapomniałem o rękawicach.

Batoniki w kieszeni zamarzły, ale bakalie i picie z termosu jak zawsze na miejscu, przy tym podziwianie widoków, taki obiad mógłbym jeść codziennie.

Mimo rozmokniętego śniegu i mojej niezdarności, na zejście

potrzebujemy dwóch godzin.

W schronisku jesteśmy o 13:30 i zostaje nam dużo czasu na świętowanie sukcesu i planowanie nowej wyprawy, a było co świętować.

Przy pomocy Dzika i Agi udało mi się wykonać plan minimum „być na grani” i spełniło się moje małe marzenie mianowicie: zdobyć swój pierwszy szczyt. Jupiii!!! Tego dnia nauczyłem się też buchtować linę.



Grzane piwo zwycięstwa piliśmy z metalowych kubków. Przy kolejnym grzaniem, robimy przeszukanie kuchni i po odnalezieniu całej szafki z czystym szkłem, dalej po spartańsku pijemy browara z naszych małych kubeczków.

02.11.2013

Ten dzień według prognoz miał być tylko zachmurzony i początkowo był. Przyniósł mi on kolejne doświadczenie górskie, mianowicie pierwszy zjazd na linie.



Niestety mgła i śnieg zmusiły nas do powrotu. Szybkie pakowanie i ucieczka do Lavin.

Dziku i Aga jeszcze tego dnia dojechali szczęśliwie do Polski.



A mi zostały wspomnienia.

tekst: **Dawid Paszczyński**

Relacja Pawła z naszej wyprawy na Szczyt Awicenny

**„Samo się nie wejdzie, ale razem możemy
wszystko”**

Na przełomie lipca i sierpnia 2013 r. Agnieszka Kruk, Dzik, Tomasz Brodziak i Paweł Kudła (mieszkaniec Piskorzowa) zdobyli siedmiotysięcznik Pik Lenina, leżący w górach Pamiru (Kirgistan-Azja).

Szczyt Avicenny, bardziej znany pod nazwą Pik Lenina, ma 7134 m n.p.m. wysokości i leży na granicy Kirgistanu i Tadżykistanu. Skąd nasze zainteresowanie tą górą? Otóż jest to jeden z pięciu szczytów siedmiotysięcznych będących w granicach byłego Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Przed rozpadem ZSRR zdobywcy wszystkich tych szczytów otrzymywali prestiżowe odznaczenie Śnieżnej Pantery. Zdobycie Piku jest także swoistą przepustką do wysokogórskiego świata i co za tym idzie, w Himalaje. O taką przepustkę postanowiłem zawałczyć wspólnie z moimi przyjaciółmi – Agnieszką Kruk, Jarkiem Jóźwickim (Dziku) i Tomkiem Brodziakiem. Zanim postanowiliśmy powalczyć o nasz górski awans, starliśmy się z wieloma alpejskimi szczytami. Objeździliśmy góry niemal całej Europy, wędrując nawet poza jej granice, m.in. w wysoki Kaukaz. Taka góraska droga, jaką przeszliśmy, razem sprawiła, że nasze charaktery dotarły się na tyle, że staliśmy się zgraną ekipą skupioną wokół jednego celu, który osiągnęliśmy po 3 tygodniach akcji wysokogórskiej. Ale od początku...

Wystartowaliśmy z Warszawy 12 lipca tego roku. Międzyładowanie w Kijowie, a później w Biszkeku (stolicy Kirgistanu), aby ostatecznie nasza stopa stanęła w Osz, drugim co do wielkości mieście Kirgistanu. Następnie szybkie zakupy żywności i paliwa do kuchenek. Wsiadamy do busa i ruszamy pod naszą górę. Czekamy cały dzień drogi przez wysokie przełęcz Górną Alajską, następnie kotliną o tej samej nazwie. Z okien widzimy jurty Kirgizów i nie skażoną przyrodę stepu, czujemy się niczym na filmie BBC z Davidem Attenborough. W bazie głównej znaleźliśmy się po półtorej doby od wyruszenia z Polski. Obóz główny (Base Camp) to ostatnie miejsce, gdzie docierają samochody terenowe. Dalej jesteśmy zdani jedynie na swoje własne siły i ewentualnie na tragarzy na których nas nie stać. Base Camp leży na wysokości 3200 m n.p.m. Szybki przyjazd nie pozwolił nam się zaklimatyzować, czyli przyzwyczaić nasz organizm do oddychania rozrzedzonym powietrzem. Ze względu na małą zawartość tlenu w powietrzu mamy ciągle zadyszkę nawet leżąc w

namiocie podczas snu. Jak się przekonujemy, zadyszka stanie się naszą towarzyszką do ostatnich kroków na drodze do szczytu. Aklimatyzację wypracowujemy wnosząc coraz wyżej cały nasz sprzęt: namioty, śpiwory, jedzenie kuchenki, benzynę, radiostacje, sprzęt wspinaczkowy, liny itp. To wszystko wnosimy do pierwszego obozu. Tam spędzamy większość wyprawy i stamtąd wyprawiamy się do wyższych obozów i na szczyt. W sumie na drodze do szczytu zakładamy 4 obozy: Pierwszy na 4200 m n.p.m., drugi na 5200 m n.p.m., trzeci na 6200 m n.p.m. i ostatni – czwarty obóz, na 6400 m n.p.m., skąd na początku sierpnia wraz z Tomkiem ruszamy na szczyt kilkukilometrowym grzbietem na sam wierzchołek. Aga z Dzikim zdobyli szczyt kilka dni przed nami, w pięknym stylu atakując z obozu 3 pokonali przełęcz schodząc na 6000 m n.p.m. i wspinając się przewyższeniem niespełna 1200 m, a wszystko to w naprawdę imponującym czasie. Natomiast z Tomkiem nie mieliśmy tyle szczęścia – nasz pierwszy atak zakończył się odwrotem z obozu trzeciego. Powodem był mój stan zdrowia, niepokojący kaszel, ogólne osłabienie. Nie można ryzykować, bo jeszcze skończy się chorobą wysokogórką, a to już duże zagrożenie. Zresztą bardziej lub mniej każdy z nas na tej wyprawie chorował. Najbardziej jednak oberwało się mi i Dzikowi. Musieliśmy aplikować sobie mocne antybiotyki. Wszystkie leki, jakie posiadaliśmy na wyprawie, przywieźliśmy z Polski i uzbierała się z tego pokaźna apteczka. W jej skład wchodziły leki na chorobę wysokościową, obrzęk płuc, obrzęk mózgu itp. Nam przydarzyło się na szczęście tylko mocne przeziębienie, które jednak mogło zakończyć nasze zmagania ze szczytem. Podczas gdy Agnieszka i Dzik Walczą o każdy krok w stronę szczytu i każdy oddech, ja walczę z kaszlem i choróbskiem na dole. Tomek natomiast, wierny kompan, ani myśli ruszyć z inną grupą, cierpliwie czeka aż stanę na nogi. Po trzech dniach zmotywowani sukcesem naszych towarzyszy, ruszamy. Ja jeszcze nie do końca w formie, ale trudno – gramy va banque. Pogoda się psuje, mamy mało czasu. Po drodze do dwójki jeszcze mała przygoda ze szczeliną lodową do której wpadam. Szczelina taka, to pęknięcie w poprzek lodowca, który wypełnia całą dolinę,

zazwyczaj trzeba takie pęknięcie przeskoczyć albo obejść. Szybko wychodzę ze szczeliny, chwilka odsapnięcia, opanowanie emocji i zaraz ruszamy do góry. W dwójkę jesteśmy w miarę szybko. Tempo dobre, samopoczucie kiepskie, jeszcze nie czuję się najlepiej. Kolejnego dnia dochodzimy do obozu trzeciego, zwijamy go i przenosimy na 6400 m n.p.m., gdzie staje się naszym obozem czwartym. Spędzamy tam dwie noce w małym szturmowym namiocie o powierzchni 3m². Droga na szczyt nie była ciekawa, wokół mgła, otuchy dodaje nam zespół ukraiński, który nam towarzyszy. W drodze na szczyt trochę pobołały nas palce, a czasem nie było ich czuć, ale ostatecznie obyło się bez większych trudności. Po południu stajemy na szczycie najpierw – Tomek później ja. Warunki pozwalają nam na kilka zdjęć – dosłownie kilka minut. Zresztą ze szczytu nic nie widać. Przepiękny bezkres gór, jaki obserwowali Aga z Dzikim, zakryły chmury. Staramy się szybko opuścić to niegościnne miejsce. Mgła jest tak duża, że nawiguje nas zapis naszej drogi w GPS-ie. On jednak zawodzi, prowadzi nas w złym kierunku. Z pomocą przychodzi nam stary dobry kompas i chorągiewki rozstawione wzdłuż drogi na szczyt, nasze ślady w śniegu dawno już zawiane. Teraz przed nami już tylko jedno zadanie – bezpiecznie wrócić, to też się nam bez większych przygód udaje. Niesamowita ulga ogarnia nas po zdobyciu szczytu.

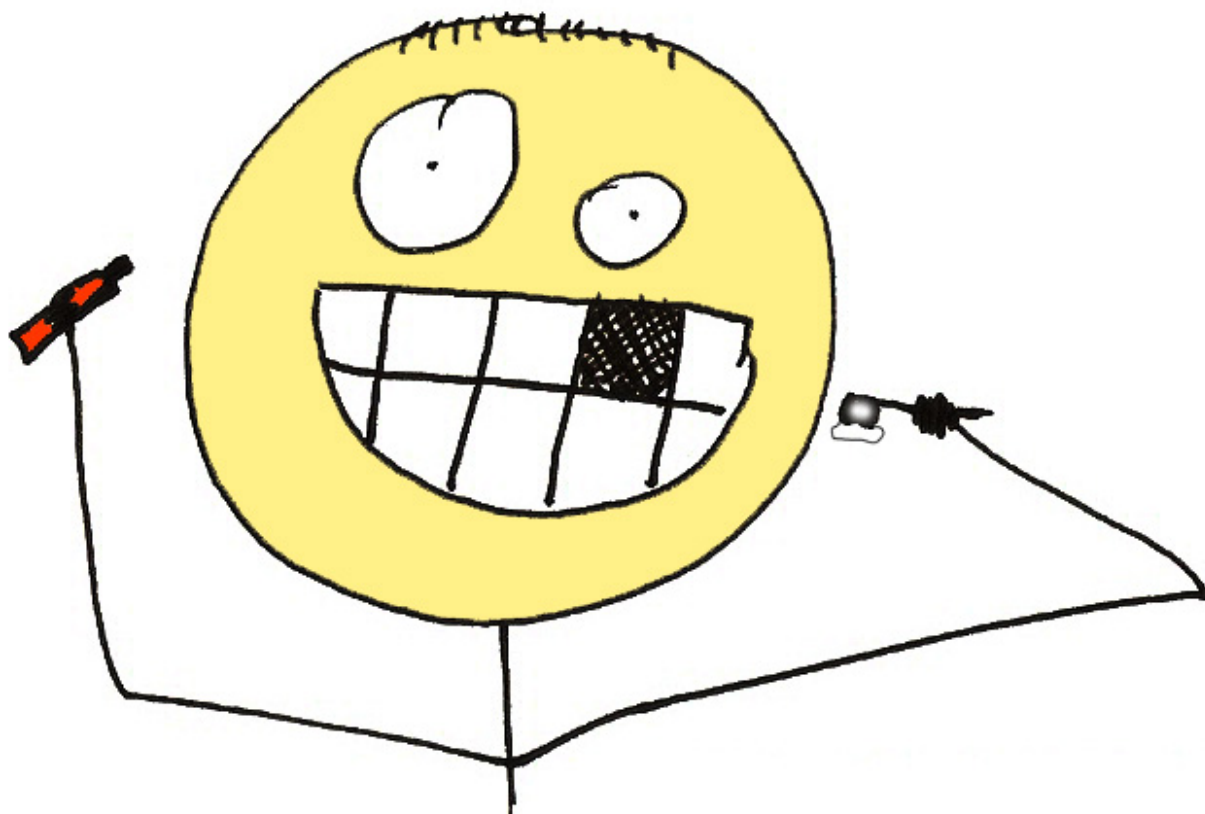
Trzy tygodnie jakie spędziliśmy na powolnym wychodzeniu do góry, zakładaniu poszczególnych obozów i zejściu po kolejny ekwipunek, wiele nas nauczyły. Dowiedzieliśmy się, co to jest przyjaźń, wytrwałość, braterstwo, jedność celu. To wszystko jednak nie udałooby się gdyby nie wiele osób, które pomogły nam w przygotowaniu zarówno merytorycznym jak i materialnym. Szczególnie chcieliśmy podziękować za wsparcie partnerom wyprawy „Pamir 2013 – samo się nie wejdzie”, którymi byli: Urząd Miejski w Pieszycach, Urząd Miasta Bystrzyca Kłodzka oraz Pan Ryszard Krzyśków – prezes przedsiębiorstwa Broen sp. z o.o. Podziękowania należą się też naszym przyjaciołom i oczywiście rodzinie, za to, że trzymali za nas kciuki i wspierają nasze projekty. Mam nadzieję, że nadal będziemy

spotykać się z taką ludzką życzliwością i kto wie, może dzięki temu uda nam się zmierzyć z ostatnimi niezdobytymi wierzchołkami gór wysokich, w dalekich Himalajach.

Paweł Kudła

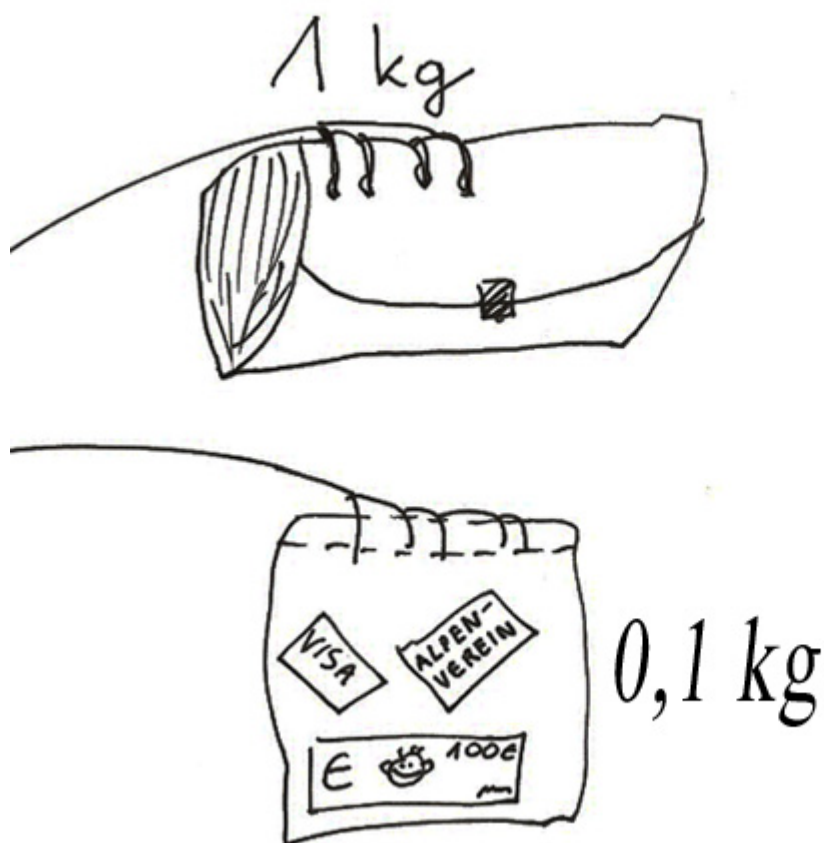
Odchudzanie bagażu – szczoteczka i pasta

Tym razem nie tyle chodzi o parę gram ciężaru mniej, lecz o poręczniejsze narzędzie do podręcznego bagażu. Szczególnie podczas długich podróży, kiedy wykorzystujemy różne możliwości do umycia zębów. Ucięta bądź składana szczoteczka oraz mała tubka pasty mieści się do małej kieszonki i mamy ją zawsze przy sobie. Na stacji benzynowej, w strumieniu wypływającym z łodowca i podczas innych okazji możemy szybko umyć zęby. No i co ważne – pasta niesiona w kieszeni nie zamarza.



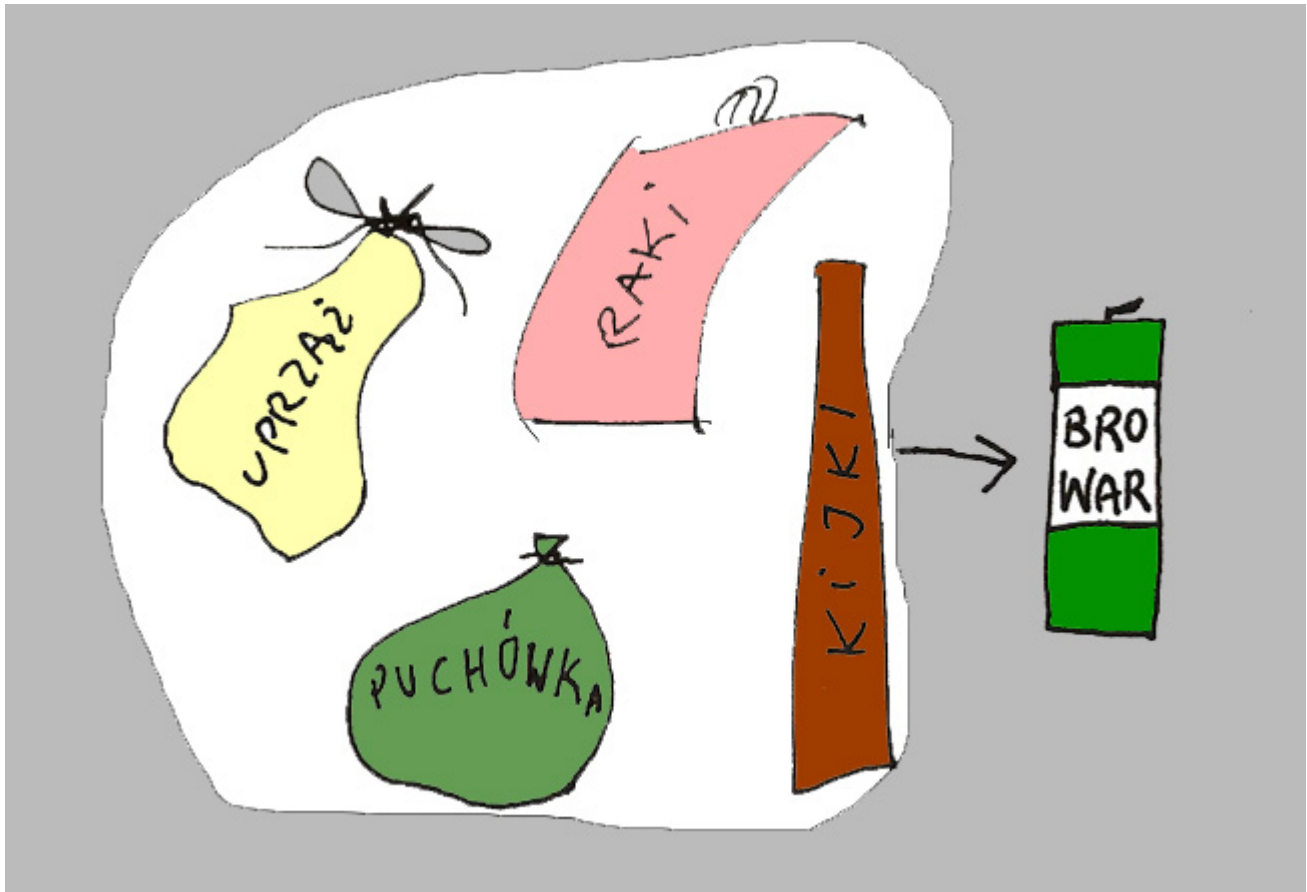
Odchudzanie bagażu – portfel

Dlaczego nie ma centrum handlowych w górach? Przez lata nosiłem portfel na lodowiec i nigdy nie miałem okazji go użyć! Przyjrzyjmy się naszym portfelom, które zabieramy na trekking, wspinaczkę. Karty na punkty, karty biblioteczne, karty rowerowe, bilon, paragony... a i same portfele skórzane swoje ważą. Wniosek: portfele zostają w aucie. W góry zabieramy szczelny, mały woreczek z kartą kredytową, dowodem osobistym (poza Unią paszport), ubezpieczeniem i paroma banknotami.



Odchudzanie bagażu – pokrowce

Pokrowiec, na uprząż, na rakiety, na kijki od namiotu, na namiot, na uprząż, na puchówkę, na kurtkę, a może nawet na raki – czy każdy z nich jest niezbędny? Z tego co kojarzę przykładowa uprząż po pierwszym wyciągnięciu z pokrowca wraca do niego dopiero po powrocie do domu. To samo z pozostałymi sprzętami. Pokrowce w trakcie akcji górskiej i tak trafiają do plecaka i nie chce się ich potem szukać. Wszystkie razem potrafią zająć sporych rozmiarów kieszeń w plecaku. A zdarza się, że po prostu odlecą z wiatrem. Zostawmy je w aucie.



Odchudzanie bagażu – szpilki do namiotu

W warunkach wysokogórskich często okazują się niepotrzebne szpilki do namiotu. Namiot mocujemy za pomocą kijków, nart, kamieni, worków ze śniegiem, czekanów, deadmenów lub śrub lodowych. Rzadko kiedy struktura śniegu czy lodu pozwala na użycie szpilek. Wniosek: szpilki lepiej zostawić na dole. Ewentualnie zabrać 4 na wszelki wypadek.



6 minut na setkę

6-go kwietnia docieram w Góry Opawskie. Potrenować, czyli przejść szlakami szybkim tempem jak największy dystans. Już jak dojeżdżam do granicy to wiem, że plany trzeba zweryfikować. Gruba warstwa śniegu zalega na polach, na poboczach, na parkingach na granicy. Nie widzę za bardzo możliwości zaparkowania. W ten sposób zatrzymuję się dopiero w mieście – w Zlaté Hory. Nie szkodzi. Nieważne czy przebiegnę po suchym szlaku 30 km czy przetoruję w wysokim śniegu 15 km. Mam się zmęczyć. No to się zmęczyłem...

Ruszyłem koło godziny 10:40. Pokręciłem się chwilę w poszukiwaniu niebieskich znaczków. Są! Teraz tylko wypatrywać kolejnych i dotrę po nich prawie na szczyt. I to szczyt nie

byle jaki, bo najwyższy szczyt Gór Opawskich – Příčný vrch – całe 975 m n.p.m. Jestem na poziomie niecałych 400 m. Przede mną mniej niż 600 m w pionie. Niby niewiele. Ale kto kiedykolwiek torował w śniegu ten wie.



Po wyjściu z miasta idę jakiś czas wzdłuż wyciągu

narciarskiego. Wyciąg wciąż działa ale widzę jedynie trzech narciarzy – starszego pana ciągnącego na linie dziecko i 100 metrów za nimi kolejny mały chłopczyk, który mocno odpychając się podąża ledwo pochyłym stokiem za pierwszą dwójką. Choć jest kwiecień to tu jest pełnia zimy. Jeszcze długo idę w towarzystwie czeskiej muzyki dochodzącej z głośników przy wyciągu. Po zejściu z ratrakowanej trasy wbijam się w las i... głęboki śnieg. Tempo spada. Przeciskam się przez las stawiając kroki w dziewiczym śniegu i kontempluję. Zastanawiam się, ile razy ostatnimi czasy zawróciłem sprzed szczytu. Mont Blanc, Punta di Penia, Matterhorn, Liskamm Zachodni i kilka innych. Może to nie ta półka co Sudety ale mechanizm jest ten sam. Zimno, zmęczenie, złe warunki i już się załęga myśl: „piernicze, po co się męczyć, jest usprawiedliwienie, jest to i tamto, można sobie odpuścić”. Ale dziś nie odpuszczę. Nawet jak przyjdą takie myśli.

Zatrzymuję się na parę łyków wody i przegryzkę. 5 minut i idę dalej. Czuję jak mokra koszulka wychładza mi ciało. Muszę być ciągle w ruchu. O 12:10 jestem przy ruinach zamku Edelstejn. 685 m n.p.m. Przejście 300 metrów w pionie i 4,5 km trasy zajęło mi 1,5 godziny. Nie jest źle. Szacuję, że za kolejne 1,5 h będę na szczycie. Trochę się pomyliłem.



Krok za krokiem posuwam się w głębokim śniegu. Jeśli zatrzymuję się, to tylko na chwilę, parę łyków wody, kanapka do ręki i dalej, w drogę. I myślę sobie, jak można łatwo w takim terenie zgubić szlak. To było jedno z założeń: nie zgubić szlaku mimo zmęczenia, nieznanej trasy i pośpiechu. Jakoś się udało. Chociaż oblepione śniegiem drzewa sprawy nie ułatwiały. No i ta gęsta mgła... Czasem przez długi czas nie widziałem oznakowanego szlaku. Mijam Vyr (795 m), a o 13:20 wchodzę na skałę znajdującą się w punkcie widokowym. Myślę, że to Hreben. W rzeczywistości jestem dużo niżej. Droga skręca znów ostrzej w górę. Idę środkiem małego wąwozu. Choć w środku nagromadziło się mnóstwo śniegu to innej drogi nie widzę. W pewnym momencie natykam się na ambonę. Stoi w zasięgu ręki ale mam problem, żeby się do niej dostać. Brodzę centymetr po centymetrze w śniegu po uda by dotrzeć do drabinki. Mam w tym cel. Jest mi zimno i mam częściowo mokre spodnie. Na ambonie rozbieram się do majtek, zakładam getry i wyciągam z plecaka

kurtkę. Teraz jest ok.



W końcu dochodzę do punktu zwanego Hreben. Jest 14:22. Do najwyższego punktu Gór Opawskich napisane jest 0,5 km. Ruszam niemal zupełnie płaskim terenem ostatnie kilkaset metrów. Po 10 minutach niecierpliwię się. Czuję jak pieką mięśnie w udach ale od pewnego czasu jestem już w rytmie. W stanie, w którym zmęczenie uchodzi na drugi plan. Znam ten stan i wiem, że można tak godzinami. Nawet jak nie ma jedzenia i picia. Ale tu jestem psychicznie osłabiony przez te „0,5 km” na drogowskazie. Po 20 minutach zaczynam się wahać. Czasu coraz mniej a ja jestem ciągle w lesie. Dosłownie. Wiem, że gdzieś tu jest tabliczka na drzewie oznaczająca cel ale zaczyna mi spadać motywacja. Jednak ciągle mam w głowie dzisiejsze przemyślenia – nie odpuszczaj jeśli nie musisz. Czuję się, jakbym przeszedł już kilometr ale postanawiam zrobić jeszcze 200 kroków. Liczę do 150, rozkojarzam się, jeszcze na czuja

parędziesiąt kroków. Staję, mam dość. Ale wydaje mi się, że coś widzę. Ostatnie 50 metrów – mówię sobie. I faktycznie – na drzewie tabliczka – Příčný vrch – 975 m n.p.m. Te „500 metrów” pokonywałem 30 minut! Przypominam sobie, jak stałem tu jakiś czas temu, gdy zdobywałem zimową Koronę Sudetów w ciągu jednego sezonu. Wtedy jednego dnia wszedłem na 3 szczyty w 3 różnych pasmach. Příčný vrch był 3-ci tego dnia i wszedłem na niego od parkingu z Horní Údolí w 35 minut!

Przejście powrotnego dystansu (około 8 km) do miasta było zdecydowanie łatwiejsze gdyż zdecydowałem się wracać tą samą trasą. Wchodziłem ponad 4 godziny, a po 6 i pół godzinie od wyjścia wróciłem do samochodu.

Co jakiś czas potrzebuję samotnej wyrpy. Przebywając w takich okolicznościach tylko sam ze sobą można sobie łatwiej uświadomić pewne rzeczy.

A teraz wracam do domu spełniony. A najważniejsze – w bagażniku mam zapas dobrego, czeskiego piwa.

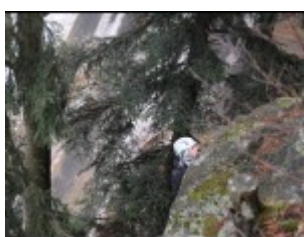
– END –

Dziku



Zimowy trening





MONTE ROSA – Zimowy trening

Gdzie – Monte Rosa (>4000 m n.p.m.)

Kiedy – luty 2013

Kto – Dziku & Paweł & Aga & Tomek

Kluczem miała być pogoda. I tuż przed wyjazdem Paweł fachowo zinterpretował prognozy:

„Pogoda nie wygląda źle, a na weekend się klaruje. To -30 da nam w dupę ale przynajmniej komarów nie będzie.”

I tak po raz kolejny przyjechaliśmy do Zermatt. Lecz po raz pierwszy zimą. I muszę przyznać, że to miasto i jego okolica wyglądają o tej porze wyjątkowo ładnie. Mając przed sobą nie przysłoniętą najmniejszą chmurką sylwetkę Matterhorna ruszyliśmy stokami narciarskimi pod górę. Tym razem nie mamy na celu konkretnego szczytu. Przyjechaliśmy przetestować siebie i sprzęt w zimowych, górskich warunkach przed naszą planowaną wyprawą na 7-tysięczny szczyt w Pamirze. Warunki do treningu trafiliśmy dobre. W tych dniach było bardzo mroźno. W okolicy 4000-cy metrów temperatura wahała się w okolicach -30 stopni. Jednocześnie dobra pogoda pozwoliła nam na szybkie zdobycie wysokości. Już pierwszego popołudnia po przyjeździe docieramy z dwudziesto-paro kilogramowymi plecakami na plecach na wysokość 2430 m. Po spędzeniu pierwszej zimnej nocy na lodowatej podłodze opuszczonego budynku kolejki, rankiem na drugi dzień ruszyliśmy w dalszą drogę. Po około 10h marszu dotarliśmy na plateau pod Breithornem (4164 m n.p.m.). Tu, na lodowcu i wysokości ok. 3750 m rozbiliśmy namioty. Tej nocy było jeszcze zimniej niż poprzedniej. Po zmroku na naszym termometrze szybko skończyła się skala. Temperatura spadła poniżej -30 stopni. Jeszcze tego wieczoru udało mi się coś przełknąć. W kolejnych dniach choroba wysokościowa pozbawiła mnie niemal całkowicie apetytu. Po powrocie, na podstawie tych doświadczeń można wywnioskować, że na kilkudniowy wypad na 4-tysięcznik wystarczy zabrać 4 kisiele i herbatniki. Z takimi wnioskami na pewno nie zgodziłaby się Aga, która bez względu na wysokość i temperatury spożywała posiłki jakby nigdy nic.

Już następnego dnia stanęliśmy na szczycie Breithorna (4164 m n.p.m.). Aga, która w tych dniach wykazywała niezwykłą kondycję i siłę fizyczną stanęła na szczycie jako pierwsza. Potem na wierzchołku stawali kolejno pozostali członkowie ekipy. Na końcu człapał Paweł, który jako jedyny był tu na nartach skitoruowych i miał z nimi trochę problemów technicznych. Jednak swoje postanowienie spełnił i po raz pierwszy w swoim życiu zjechał z 4-tysięcznego szczytu. Wymagało to sporo odwagi. Stok miał bardzo duże nastromienie, w dodatku gdzieś tam pojawiały się głębokie szczeliny. Po dotarciu do namiotów i odpoczynku spakowaliśmy się i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przed zmrokiem chcieliśmy dotrzeć do schronu koło przełęczy Schwarztor (3734 m n.p.m.).

Jednak już po zejściu z plateau i wejściu w górną część lodowca Verra poczuliśmy kryzys. Szybko oddałem prowadzenie, ponieważ podczas torowania opadłem z sił. Następny odpadł Tomek. A Aga... w tych dniach przebijająca nas wszystkich. Ruszyła jako pierwsza i torowała w śniegu aż do zapadnięcia niemal całkowitych ciemności. Pawła już wtedy z nami nie było. On na nartach zapadał się najmniej i znacznie nas wyprzedził. I w ten sposób po zmroku zostaliśmy we trójkę z małutkim – dwuosobowym – szturmowym namiotem. Wykopaliśmy platformę i ściśnięci jak sardynki położyliśmy się w śpiworach. Byliśmy potwornie wychłodzeni. Dygotaliśmy przede wszystkim z powodu wyjątkowo niskich temperatur, ale również z powodu zmęczenia po wysiłkach tego dnia. Mieliśmy nadzieję, że Paweł dotarł do schronu i tam spędzi noc. Jednak niecałą godzinę później usłyszeliśmy jego wesoły głos. Okazało się, że schronu nie znalazł. Brnął w coraz trudniejszym terenie, aż w kopnym, metrowej głębokości śniegu odpięła mu się narta. Ledwo się wygrzebał i postanowił do nas wrócić. Najmniej szczęśliwy z takiego obrotu sprawy był Tomek. Nie zdążył się ani trochę rozgrzać a już musiał wyjść i od nowa kopać platformę i rozstawiać kolejny namiot. Ależ mi go wtedy żał było. Ale moje ciało było już wtedy wraz ze śpiworem wkomponowane w nierówności śnieżnego zbocza i przez następne 12h nie

poruszyło się ani o centymetr. Następnego dnia usłyszemy od Tomka zdanie, które utkwi mi w pamięci: „Jak kiedyś wspomnę coś o Alpach zimą to mnie walnijcie w głowę”.

Rano przeanalizowaliśmy sytuację i postanowiliśmy dotrzeć na przełęcz i do schronu dolnym lodowcem Verra. Wróciliśmy po naszych śladach do początku drogi i zaczęliśmy trawersować stromy stok w kierunku przełęczy pod szczytem Polluxa. Ten odcinek nie jest wcale długi, zaledwie paręset metrów. Ale widząc poniżej nas szczeliny w lodowcu nie mogłem pozbyć się myśli – co będzie jeśli spadnie śnieg? Obsunięcie się z lawiną po tym stoku nie dawało prawie żadnych szans. Musiało się skończyć w jednej z głębokich szczelin. Ale dziś – przy pięknej pogodzie – szliśmy bez problemów po zmrożonym i świetnie trzymającym śniegu. Kiedy dotarliśmy do przełęczy wyjaśniła się sprawa schronu. Okazało się, że znajduje się on wysoko na skałach. Od góry zasłonięty i niewidoczny, dlatego Paweł poprzedniego wieczoru go nie znalazł. A prawdopodobnie dotarł bardzo blisko budynku! A od dołu, choć schron dobrze widoczny, wydawał się również poza naszym zasięgiem. Stwierdziliśmy, że nie ma co się mordować i skoro mamy namioty to rozbijemy je tu na przełęczy. Na następny ranek zaplanowaliśmy uderzenie na Polluxa i Castora. No dobrze, ale jest popołudnie i jeszcze parę godzin słońca. Aga, która energia wręcz rozpierała, po obiedzie usilnie namawiała nas, by wejść na pobliski szczyt – Roccia Nerę (4075 m n.p.m.). Przez pół godziny nikt nie dawał się namówić, aż wreszcie skapitulował Tomek. Razem zdobyli kolejny 4-tysięczny szczyt. Szczyt nie był tak prosty, jak się to wydawało z dołu. Do pokonania był stromy, zaśnieżony stok z wyjątkowo głębokim śniegiem w części podszczytowej. Końcowe metry Aga i Tomek pokonywali na czworakach. Po mniej niż 2,5 godzinie wrócili. Ich dobre humory wzbudziły w Pawle pokłady ambicji i mimo zbliżającego się zmierzchu Paweł ruszył po ich śladach samemu na szczyt. Wrócił już w całkowitych ciemnościach i – niestety – przy zachmurzonym niebie. Tuż przed jego powrotem zaczął sypać śnieg.

I nie przestał aż do następnego ranka. W nocy wstawałem by odkopać namiot. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Podnosząca się temperatura i gęste opady wzbudziły we mnie najgorsze przeczucia. Śniegu przez noc spadło co najmniej 20 cm. Jednak z powodu silnego wiatru nie była to równa powłoka, lecz dochodzące gdzieś do metrowej wysokości zaspy. Rano jednogłośnie podjęliśmy decyzję o odwrocie. Po spakowaniu się ruszyliśmy w kierunku stoku prowadzącego na względnie bezpieczne plateau pod Breithornem. Niestety już po 100 metrach przy tak słabej widoczności straciliśmy orientację. Teraz przyszedł czas na plan B. Nasze oczy skierowały się w kierunku stromej i wysokiej skały z budynkiem schronu. Tam będziemy mogli przeczekać najgorszą pogodę. Mamy przecież jedzenia i paliwa na następne kilka dni. Jednak schron, który z założenia powinien służyć otworem właśnie w przypadku trudnych warunków, położony był w miejscu tak trudno dostępnym! Mój atak został odparty jako pierwszy. Brnąc pod górę w nawianym, zupełnie niezwiązanym śniegu dotarłem do skał na stromym zboczu. Tu droga, którą oceniałem jako względnie mało ryzykowną się skończyła. Pewnie gdyby nie grudniowa przygoda z lawiną parłbym ostro do przodu. Teraz jednak, stojąc na wysepce skalnej oznajmiłem, że się dalej nie ruszę. Na sąsiadującej, podobnej wysepce stała Aga i wyła z powodu bólu w palcach stopy. Choć ciężki do zniesienia, ból ten daje w pewnym sensie uczucie ulgi. To znak, że we wstępnej fazie odmrożenia wraca krążenie. Najbliżej celu był Tomek. Przywiązał do siebie koniec liny i ruszył pod górę szukając punktu do założenia stanowiska. Dotarł już do ostatniej grupy skalnej przed schronem. Niestety, nigdzie nie dało się założyć punktu do asekuracji. Obsunięcie się z tego śnieżnego pola to upadek wraz z masą śniegu ze stromego urwiska. Zresztą, prawdopodobnie zgarniając po drodze mnie i Agę, ponieważ znajdowaliśmy się poniżej. Najbardziej rozsądny w tym momencie wydawał się pomysł Pawła, aby wspiąć się do schronu po skale i stalowych linach. Oczywiście możliwe było to tylko na lekko. Ale pozwoliłoby założyć asekurację dla kolejnych osób transportujących plecaki. Dlaczego nie wpadliśmy na to

wcześniej? Ponieważ częściowo zasypane i przymarznięte do skał liny zobaczyliśmy dopiero z góry. Pomysł również był ryzykowny, a o jego skuteczności nie było nam dane się przekonać. Nagle zamieć śnieżna się skończyła, niebo stało się błękitne i zaświeciło słońce.

Teraz, bez problemu z orientacją wróciliśmy na stok i ruszyliśmy w drogę powrotną. Okazało się, że moje obawy o warunki po opadach w tym miejscu były nieuzasadnione. Stok był przewiany i zamrożony. Jednak co jeśli opadów będzie więcej? Mając to na uwadze nikt się nie wahał czy należy wracać. Przechodzimy stok i wdrapujemy się na plateau. Idę zgarbiony pod plecakiem, chroniąc twarz przed wiejącym 50km/h lodowatym wiatrem. Przed siebie popatrzyłem dopiero, gdy usłyszałem krzyk. Pod Agą, która szła jako druga załamała się cienka warstwa zmrożonego śniegu i otworzyła się szczelina. Dzięki dużemu plecakowi i rozłożonym rękoma zatrzymała się na powierzchni. Wydostała się o własnych siłach, przeskoczyła rozpadlinę i mimo stresu była gotowa do dalszej drogi. Idąc jako ostatni mogłem się przyjrzeć i przekonać, jak groźna to była szczelina. Nie sposób było dojrzeć jej dna.

Po dotarciu do górnej stacji kolejki na Klein Matterhorn stwierdzamy, że trening można zakończyć. Te kilka dni pozwoliły nam już wyciągnąć wnioski dotyczące naszego przygotowania i posiadanego sprzętu.

Z wysokości 3820 m n.p.m. Paweł zjeżdża na nartach a reszta ekipy schodzi pieszo do samego miasta.

Dokładnie rok temu o tej samej porze dotarliśmy do schronu Vallot by następnego dnia dokonać zimowego wejścia na Mont Blanc. Tym razem postawiliśmy na przeżycie kilku lodowych biwaków na wysokości niemal 4 tys. metrów. Co wymyślimy za rok?

Ale póki co wjeżdżamy do Wrocławia. Po kilkunastu godzinach sennej jazdy autostradami zaczęły się szybkie ruchy kierownicą i slalom między głębokimi dziurami w jezdni. Z tylnego siedzenia słyszę głos Tomka:

„Tu jest groźniej niż na lodowcu...”

– END –

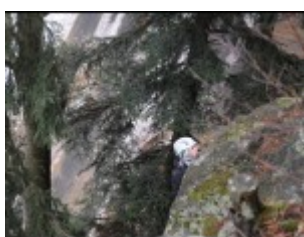
Dziku

Błyszcz zimą

Dobre warunki pozwoliły nam na sprawną akcję i zdobycie Błyszcz (2159 m n.p.m.). Jest to taki szczyt – nie szczyt, ponieważ znajduje się on na grani prowadzącej na najwyższy szczyt Tatr Zachodnich – Bystrą (2248 m n.p.m.). Jednak z powodu krótkiego dnia i długiej drogi powrotnej zdecydowaliśmy, że osiągnięcie tego punktu całkowicie nas satysfakcjonuje.

Co to takiego Błyszcz i co to takiego Bystra przeczytałem dopiero po powrocie. Myślę, że gdybym to wiedział wcześniej to bym nie odpuścił. To mi przypomina sytuację, kiedy szukałem szczytu Zawrat...





„Wrong people on the wrong mountain”

Cel – Matterhorn (4478 m n.p.m.) – z wynikiem 3:2 dla Mata

Kiedy – sierpień 2012

MATTERHORN – „Wrong people on the wrong mountain”?

Prawdopodobnie najsztywniejszy w Szwajcarii, najczęściej obfotografowany, 7 wśród najbardziej śmiertelnych, fascynuje i przytłacza swoim ogromem..

MATTERHORN... MATT...

Paweł już od ponad 2 lat miał „obsesję” na punkcie tej góry. Uznaliśmy, że warto się z nią zmierzyć, mimo, że sama myśl o niej wywoływała niepokojące dreszcze.

Wyjechaliśmy z Wrocławia 14 sierpnia wieczorem w składzie: Ja (Aga), Paweł, Dziku, Tomek oraz Bocian- nasz nowy nabytek drużynowy, polecony przez Pawła. Gdy wkońcu dotarliśmy do Zermatt karawanę zaczęliśmy dopiero popołudniu. 5 wielbłądów, każdy 18- 25kg na grzbiecie szły ku swojej wymarzonej, skalnej piramidzie w upale przekraczającym 30st.

Po 5h marszu zdecydowały się na nocleg. Miejsce biwakowe nie było przypadkowe: w promieniu 200m wszędzie leżały rolki papieru toaletowego. W ten sposób Matt chciał nam wyraźnie zasugerować, że będziemy mieć przesrane...

Następnego dnia doszliśmy do schroniska, rozbiliśmy obóz i popołudniu zrobiliśmy mały rekonesans, by sprawdzić co nas tak naprawdę czeka. Paweł ujął to tak: „W Macie trzeba się najpierw zakochać, potem wystraszyć, a na końcu go zdobyć”. Pierwsze 2 punkty zaliczone.

Pobudka o 3.30, wejście w ścianę o 4 i wszystko jest ekscytująco piękne do momentu, gdy na trasę wychodzą P R Z E W O D N I C Y Z K L I E N T A M I. Nie tylko ludzie osiagają w górach szczyty – chamstwo i komercha również. Będąc „w trudnościach” byliśmy przepychani przez 30 usiłujących nas wyminąć 'górskich guru'. „Wrong people on wrong mountain” – słowa jednego z nich stały się tytułem

naszego nowego albumu The Alpinists □



O 7.30 meldujemy się przy schronie Solvay (musicie zobaczyć tamtejszą toaletę – skorzystanie z niej to kolejne wyzwanie Matterhorna). Batonik i dalsze napieranie – „samo się nie wejdzie”. Po 3 godzinach i wciągnięciu się po 80m linie na rękach opadłam z sił. Dzik i Bocian również są już zmęczeni a wszystkich nas dręczy pytanie: „Jak my, do cholery, stąd

zejdziemy?!". Nasza trójka decyduje się na odwrót, Paweł i Tomek idą dalej na szczyt.

Ledwo zaczęliśmy schodzić, gdy zsuwając się po linie Bocian upada i krzyczy, że „coś mu poszło w kolanie”. Robi się coraz mniej sympatycznie. Ciągłe, wielogodzinne napięcie psychiczne męczy może nawet bardziej niż fizyczne trudności. Za 20 minut sytuacja się powtarza i nasz Bociek nie może już wogóle iść. Dlatego poleciał...

Akcja z helikopterem przebiegła bardzo sprawnie i już po 20 minutach od wezwania pomocy Bocian szybował w stronę Zermatt. Ja i Dzik kontynuujemy zejście przez następne 8 godzin. Mogę śmiało powiedzieć, że z połowy Matta zjechałam na tyłku – po prostu siadałam i zsuwałam się ze skał, ponieważ nie miałam już sił na eleganckie schodzenie.

No i zgubiliśmy drogę... W ramach

rekompensaty za niezdołyty wierzchołek zrobiliśmy kawałek wschodniej ściany z paroma ciekawymi zjazdami na linie.

Po 20 jesteśmy w namiotach, niedługo po nas przychodzą Paweł i Tomek, którzy oczywiście weszli na szczyt (Gratulacje Chłopaki!). Z Bocianem i jego naderwanymi więzadłami kołanowymi spotkamy się następnego dnia w Zermatt.

WYNIK 3 : 2 DLA MATTERHORNA. BĘDZIE REWANŻ!

W lepszym stylu i lepszym czasie, najpierw jednak musimy trochę jeszcze potrenować... ☐

A i tak pękam z dumy jak sobie pomyślę, że prawie weszłam na TAKĄ GÓRĘ! ☐

INFORMACJE PRAKTYCZNE

- dojazd
- czas: ok 14h
- winieta szwajcarska – są tylko roczne –

koszt 40CHF

– jeśli nie chcemy kłopotać się z tunelem po drodze warto kierować się na miejscowość Martigny a potem dopiero na Tash, nie nadrabia się dużo kilometrów, a jest wygodniej i taniej

– dojechać można tylko do Tash, tam trzeba zostawić samochód na parkingu i do Zermatt dojechać taxi lub pociągiem (polecamy parking w Taxi Freddy – 7CHF/ auto/ dobę, potem transport taxi Freddy z Tash do Zermatt 6CHF/os.)

- noclegi**

– w Tash, za stacją kolejową jest po prawej stronie camping z zapleczem sanitarnym i polecamy wziąć prysznic po wyprawie! 4CHF/prysznic/os. Można tam też zostawić auto, ale jest drożej niż u Freddy'ego – 8CHF,

– w Zermatt dla osób z grubymi portfelami nie będzie z noclegiem problemu, jest tam też camping z zapleczem sanitarnym, ale drożej niż w Tash,

– w schronisku Hörnlihutte,

– to co polecamy: we własnym przytulnym namiocie – swojsko i tanio, tylko trochę plecy bołą, poniżej schroniska, przy drodze na Matta są kamienne platformy pod namioty (w liczbie ok. 10-ciu) ,

! UWAGA: podczas szczytu sezonu mogą wszystkie być zajęte i trzeba sobie wtedy wybudować własną !

- woda

Teoretycznie jest to problem w drodze na Matterhorn. Po drodze do Hörnlihutte mijamy strumień (nad ostatnią restauracją) – warto nabrać tyle wody ile damy radę unieść, ponieważ na górze zostaje tylko topienie brudnego śniegu (nie ma go tam za wiele) lub zakup wody w schronisku 4CHF/litr wrzątku, 8CHF za butelkę 1,5l. Ale czy na pewno nie ma innego sposobu? O tym poniżej.

My znaleźliśmy następujący sposób:

Niedaleko wejścia w ścianę ubezpieczonego linami, za schroniskiem jakieś 300m, po

prawej stronie znajduje się biały zbiornik, gromadzący wodę pompowaną do schroniska. Zbiornik napełnia się za pomocą rury poprowadzonej z kałuży powstałej z topniejącego śniegu. Nie pytaliśmy w schronisku, czy jest to dozwolone. Nie gwarantujemy również, czy w przypadku mrozu lub długich upałów kałuża również powstaje.

! UWAGA: W SCHRONISKU NIE MA BIEŻĄCEJ WODY !

- trasa

- Zermatt – Hörnlihutte z plecakami ok. 6h
- Hörnlihutte – Solvay ok. 3,5h
- Solvay – szczyt ok. 4h

powrót: ze szczytu do Hörnlihutte- trzeba liczyć tyle ile zajęło nam wejście

RAZEM: ok. 15 – 17h

- Hörnlihutte – Zermatt ok. 4h

Trasa jest trudna i wymagająca fizycznie i psychicznie (patrz wyżej). Najlepiej wyjść ze schroniska ok. 4 rano i iść za

przewodnikami (jeśli dacie radę utrzymać ich tempo) ponieważ łatwo jest zgubić drogę, zwłaszcza po ciemku. Odcinek trasy do schronu Solvay jest łatwiejszy niż ten za schronem, dlatego warto urwać na nim jak najwięcej czasu (w Solvay'u trzeba być do godz. 10, jeśli chcemy wejść i zejść przed zmrokiem).

! UWAGA: trudne miejsca:

1. dolna i górna płyta Mosley'a czyli odcinek przed i zaraz za schronem. Ten przed jest ubezpieczony liną pionową ok 10m i 3m trawers, ale i tak było mi trudno.

2. przed wierzchołkiem znajduje się 80m gruba lina, po której trzeba się wciągnąć siłowo na górę. dalej jest jeszcze parę takich lin, dlatego trzeba mieć bardzo silne łapy i duuużo cierpliwości – kolejki...

! UWAGA: ZDECYDOWANIE ODRADZAMY WEJSCIE PRZY ZŁEJ POGODZIE, NO CHYBA ŻE JESTEŚ MISTRZEM WE WSPINANIU PO OŚLIZŁYCH PŁYTACH SKALNYCH LUB SAMOBÓJCĄ !

Razem Na Szczyty – sezon 2012 zakończony

W roku 2012 wystartowaliśmy z projektem [Razem Na Szczyty](#). Projekt polega na zdobywaniu z osobami niepełnosprawnymi najwyższych gór wszystkich masywów górskich w Polsce. Dziś możemy się pochwalić 10-cioma zdobytymi górami, na które weszło z nami kilkudziesięciu uczestników i wolontariuszy. Podczas tych wyjazdów okazuje się, że nie ma dla tych osób rzeczy niemożliwych. Nie przeszkadzały im zbytnio upały, ulewę, czy trudny teren. Po tak udanym i

efektywnym roku nie wszyscy mają dość. Zebrała się duża grupa, która nie zamierza zapaść w sen zimowy i planuje zdobywać szczyty również zimą. Więc nie ma czasu na odpoczynek i lista kolejnych szczytów jest już dostępna na stronie [Razem Na Szczyty](#).

Zapraszam do wspomagania naszego projektu:

 **Możesz pomóc!**

Nr konta (BZWBK):

85 1090 1665 0000 0001 1968 0194

Fundacja Poza Horyzonty - Razem Na Szczyty

Adres: Lanckorona 101, 34-143 Lanckorona

